

G. DE TE'RAMOND.

# W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

3

(Ciąg dalszy).

Nie miał już wątpliwości: morderca umknął tedy. Wychylił się przez okno i spojrzął na ulicę.

Rura gazowa, ciągnąc się od ziemi, tworzyła na wysokości pierwszego piętra występ, który doskonale ułatwił ucieczkę zbrodniarzowi.

Lapipe zwrócił się wściekły do gospodarza:

— Dlaczego mnie pan nie przestrzegł, że tak łatwo wymknąć się tedy?

— Lecz przecież pan inspektor nie pytał mnie o to...

Po słowach tych agent gniew swój zwrócił ku sobie. Sam powinien bić się w piersi i wołać: moja wina. Taki brak przezorności był nie do przebaczenia. Taki sławny wyżeł jak on, a w całej tej sprawie zachował się jak początkujący smarkacz! Najsprytniejsi agenci dopuszczają się nieraz największych błędów:

— To prawda! — westchnął żałośnie.

Potem powrócił do zwłok.

— Jaki on wielki — odezwał się; — gdym go widział stojącym, wydawał mi się niższym.

Rozłożył ręce Amerykanina.

— No... no... — mruczał zdziwiony.

Najmniejszy skurcz nie rysował się na spokojnej twarzy pasażera „Starego Czarnego Psa“, trochę tylko czerwonej śliny znaczyło się na jego wargach. W zdumienie jednak wprowadził agenta fakt, iż był on cały wygolony.

Rozejrzał się wkoło.

— Oto tłumaczenie! — zawołał po chwili.

Na stole leżała brzytwa, pędzelek z miseczką i na kawałku papieru piana mydła z włosami od zgolonych faworytów i wąsów. Przybysz widocznie przed zamordowaniem zgolił swój zarost, co mu jednak na nic się już nie przydało.

— Panie inspektorze — zawołał nagle gospodarz — proszę popatrzeć!

Palcem wskazywał na łóżko, na którym leżała płócienna, długości pół metra kizka, wypchana, jak można się było domyśleć, piaskiem lub ziemią.

To odkrycie wyjaśniło wszystko. Znany jest sposób używania przez złodziei tej strasznej broni. Czekają na chwilę odpowiednią, by wślizgnąć się do pokoju podróżnego, którego chcą ograbić, a potem wśród nocy, gdy ten już śpi spokojnie, bezpieczny za zamkniętymi drzwiami, wychodzą z ukrycia i jednym uderzeniem tej bezdźwięcznej maczugi mordują nieszczęśliwego.

Teraz już odtworzenie zbrodni było bardzo łatwe. Forster, by zmienić wyraz swej twarzy, ogolił się i rozbierał się już do snu, gdy lokator numeru 11, który nie wiadomo jak znalazł się w tym pokoju, rzucił się na niego i w jednej chwili pozbawił go życia. Po dokonaniu swego czynu, bez najmniejszej trudności wydostał się przez okno. O tej godzinie ulica Birt była pusta, nikt go więc nie widział.

— Proszę iść po policyantów — rozkazał Lapipe hotelarzowi — stoją oni na rogu bulwaru... niech pędem tutaj biegną!...

Gospodarz poszedł natychmiast. Co prawda nie czynił tego z wielką chęcią, gdyż sprawa ta nie bardzo mu się podobała. Morderstwo w jego hotelu! Tylko tego brakowało! Czyż ten inspektor, który był na śladach zbrodniarza, nie mógł przeszkodzić morderstwu? Spiesząc się po policyantów, gubił się w domysłach, co mogło skłonić agenta do asystowania bezczynnego zbrodni, a nie zapobieżenia jej. Na razie Lapipe nie tracił czasu. Pierwszym jego czynem było szukanie walizy, której jednak nie znalazł; sprawca zabójstwa nie omieszkiał jej zabrać z sobą.

Rzucił przekleństwo.

— Psiakrew, jestem wykiepowany... lecz ja go przychwyć... chociażbym miał całe życie na to poświęcić... ah! wykiepował mnie!... lecz, mój kochanku, tylko teraz udało ci się... wpadniesz w me ręce razem z milionami...

Potań z bólu czoło ręką.

— Ach! jak ja cierpię!... omdlewam!... ciemnieje mi w oczach.

Tymczasem powrócił gospodarz, przyprowadzając dwóch policyantów, którzy zatrzymali się na progu.

— Stańcie przed hotelem i pilnujcie, by nikt nie wszedł ani nie wyszedł... idę do komisaryatu... stąd bardzo blisko... ulica Batignolles, prawda?...

— Tak, panie inspektorze.

— A pan — zwrócił się do gospodarza — jest już niepotrzebny tutaj, może więc pan iść do kancelaryi i czekać na komisarza.

Policyanci schodzili już na dół do wyznaczonych sobie drzwi, gdy Lapipe zatrzymał ich i gospodarza.

— Pod numerem 14 jest jakiś Anglik, który ma odjechać rannym pociągiem... będzie zapewne żądał swych bagaży... jest on z tem żądaniem swem bardzo nudny... pod jakimkolwiek pozorem, niech go pan stąd wyprowadzi... nie umie ani słowa po francusku...

— Lecz, panie inspektorze...

— Co takiego?

— Ale i ja także nie umiem ani słowa po angielsku.

— Jakto, po angielsku?... nie umie pan ani słowa?... Ależ saperlipopette, na pańskim hotelu napisano „English Spoken“... Ten napis zapewne sprawdził tutaj Anglika?...

— To ma znaczyć, że ja umiem po angielsku? — zapytał zdumiony gospodarz. — Ja nic o tem nie wiedziałem! to mój poprzednik kazał zrobić ten napis! Ja go nie zrzuciłem, jak również i tego, który jest pod spodem: *luncheon at every hour*... Powiedziano mi, że to znaczy: „dzwonek elektryczny na wszystkich piętrach“!

— Głupiec! — mruknął Lapipe — nawet na Batignolles nie spodziewałem się znaleźć takiego idyoty!

Potem dodał głośno:

— Niech więc pan wypuści tylko tego Anglika i szepnął:

— Good bey, mój stary!... pozdrowienie Edwardowi!

I wyszedł szybko, mrucząc zadowolony:

— Umie tylko te dwa słowa angielskie i udało mi się użyć ich!...

.....

Zaledwie rozległ się trzask drzwi, oznajmiający, iż Lapipe już niema, gdy na progu pokaju 14 ukazał się Anglik.

Ostrożnie na palcach podszedł do schodów i przechylając się przez poręcz, słuchał, czy kogo niema. W hotelu panowała cisza.

— All right! — odezwał się do siebie.

Potem zamyślił się:

— Mam dziesięć dobrych minut... nie można tracić czasu... musiało coś niezwykłego zajść pod numerem 10, lecz nie wiem co!... Za wiele tam było ruchu w nocy... nic w tem niema anormalnego... lecz to bieganie od samego rana, ci policyanci, ten komisarz, po którego poszli!... Cóż to wszystko może znaczyć?... Wiem jednak, że zabójca pani Aesthon nie opuszczał pokoju, strzeżonego czujnie przez mego kolegę w przebraniu posługacza hotelowego, a więc?... Czyż mam przypuszczać, że leży on teraz związany i czeka, by go przewieziono do więzienia?... Jeżeli tak, jest to piękna robota i muszę oddać sprawiedliwość policyi francuskiej za jej zręczność!...

Przy myśli tej jednak roześmiał się.

— Brak jej czasami wchu... nie przypuszczałem, że mój podstęp uda się tak łatwo!... Myślałem, że pękne ze śmiechu, jak ten dzielny inspektor dawał rozkaz, by mnie swobodnie wypuszczono...

Rozmyślając tak, podszedł ostrożnie do pokoju 10 i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza, nie jednak nie mógł dojrzeć. Nie wahając się tedy, nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

— Aoh! — nie mógł powstrzymać się od krzyknienia.

Nie przypuszczał nawet tego, co ujrzał... zabójca pani Aesthon zamordowany pierwszej zaraz nocy po przyjeździe do Paryża... szkoda było tego bezpiecznego snu między agentem francuskim i detektywem amerykańskim! Szybki przegląd pokoju naprowadził go na te same myśli, co i Lapipe. Nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości, że przybysz ten został zabity maczugą z piasku po ogoleniu się, koniecznym dla zmiany swej fizyognomii.

— Spieszmy się — zachęcał siebie — a może uda się nam znaleźć jaki ważny szczegół; nikogo tu niema oprócz tego nieszczęśliwego bez życia na ziemi, który mnie interesuje... odszukanie jednak autora tego dzieła jest już sprawą policyi francuskiej...

Wyjął z portfela kawałek papieru, na którym było napisane to zdanie:

„Rysopis przypuszczalnego zabójcy pani Aesthon“.

Porównajmy czy odpowiada, pomyślał i przeczytał: Nos: umiarkowany, usta: zwykle.

— Niech też kto skorzysta z tego opisu — roześmiał się. — Szkoda czasu zajmować się tem! I pomyśleć, że telegrafowano, płacąc po pięć franków za słowo! Winni byli lepiej obrócić te pieniądze na

kupno musztardy, by mieli ją dla siebie na poobiedzie.

Nachylił się nad zabitym i zaczął przeglądać kieszenie. Były one próżne. Z jednej z nich dobył tylko szczyptę tytoniu, który powąchał i rozpoznał, jako specjalny tytoń meksykański „brackmonds“. Potem zdjął z nogi umarłego czerwony pantofel i obejrzał go ze wszystkich stron; na podeszwie odcyfrował jeszcze nazwisko szewca: „Smithson, Nowy York“. Gdy chciał założyć z powrotem pantofel na nogę, spostrzegł, iż jest on za mały i z trudem tylko wchodzi. Zaintrygowano go to.

Zaczął uważnie badać zwłoki. Spodnie były tak ciasne, iż nie zapinały się w pasie, również i koszuli nie można było dopiąć na guzik. Zdjął z kominka kołnierzyk i chciał go założyć na szyję zwłokom, lecz i ten był za mały. Na poręcz krzesła wisiał miękki kapelusz, który zaraz poznał, ubierając jednak w niego umarłego, wsunął mu go zupełnie łatwo aż po uszy.

— Jest to coś niezwykłego — pomyślał detektyw — ten nieboszczyk ubranie nosił za ciasne, a kapelusz za szeroki!

W chwili tej rozległ się dzwonek przy drzwiach wchodowych, oznajmiający, iż agent powrócił już z komisarzem. Detektyw zaledwie zdążył ukryć się w swym pokoju.

Gdy w pięć minut potem Lapipe obrócił się po skończeniu opowiadania komisarzowi, co się stało w hotelu tej nocy, ujrzał Anglika, który spokojnie przysłuchiwał się jego słowom.

— Ach! Pan jeszcze tutaj? — zawołał Lapipe niecierpliwie. — Czyż pan mnie nie zostawi w spokoju?... Za bardzo mi pan depce po piętach!...

Anglik jednak odrzekł flegmatycznie:

— What a funny hotel!... You may ask for your luggage but it is all the same. You won't get it!...

I wyjmując z kieszeni słownik, zaczął coraz bardziej domagać się:

— Bagaże... bagaże moa...

Lapipe nie mógł powstrzymać wybuchu gniewu:

— Czyż nie miał pan swego dziadka pod Waterloo, że ani słowa nie umie pan po francusku?... Cóż pan do licha chce, bym zrobił z pańskim bagażem?... Zmykaj pan stąd!... A prędzej... galc-pem!... Nogi za pas, bo inaczej sam panu dopomogę... no, słyszy pan do stu piorunów!...

I pokazał mu drzwi ruchem tak dosadnym, iż Anglik popychany lekko przez gospodarza, wyszedł, nie przestając mimo to wymyślać:

— I have never seen such a thing!... and what rude people!...

Podczas jednak, gdy Lapipe prosił komisarza o jaknajspieszniesze napisanie protokołu, by mógł wreszcie położyć się spać, mniemany Anglik zacierał ręce na ulicy z radości.

— Już wiem wszystko, co chciałem!... Czy pasażer z „Starego Czarnego Psa“ jest zabójcą z Nowego Yorku, o tem przekonam się łatwo później, tego jednak jestem jak najpewniejszy, że człowiek zamordowany nie jest tym, za kogo go mają... Jest to istotnie jego ubranie, jego pantofle i kapelusz... wszystko zostało ułożone z niezwykłym sprytem... ten zuch nie mógł sobie stworzyć lepszej sytuacji, jak dać się pozornie zamordować zaraz po przyjeździe do Paryża... ta zamiana kosztowała go tylko nową zbrodnię... tem gorzej dla tamtego... poco się tam znajdował!...

Uderzył się w czoło i ruszył naprzód.

— Tego tylko nie mogę pojąć, jak taki agent, jak Lapipe dał się zwieść w podobny sposób... o ile sam nie zainscenizował całej tej komedii, by wygrać coś na zatuszowaniu tej sprawy?... Nie zakończy się to jednak tak łatwo... jeszcze i ja będę miał coś do powiedzenia... pogadamy panie Lapipe!...

## IV.

### Dramat na placu Malesherbes.

W ośm miesięcy po tych wypadkach, które zbyte w dziennikach krótkimi notatkami przeszły niespostrzeżone przez publikę, dwudziestego grudnia 190., o pół do pierwszej w nocy, pani i panina Korpstrauss, żona i córka bankiera niemieckiego, osiadłego od dłuższego czasu w Paryżu, powracały z opery. Były nadzwyczaj wesole. Przedstawienie odbyło się wspaniale. Panie te lubiły bardzo muzykę, a przytem oddawna już chciały ujrzeć „Romea i Julię“, operę, którą dawano właśnie tego wieczoru. To też, gdy siadając już do stołu, otrzymały dwa fotele do opery z biletem pana Seversheim, przyjaciela pana Korpstraussa, pospieszenie zjadły obiad i pojechały do teatru.

Gdy dorożka, którą wracały, zatrzymała się na placu Malesherbes przed domem nr. 12, w którym mieszkały, panna Korpstrauss podniosła głowę do